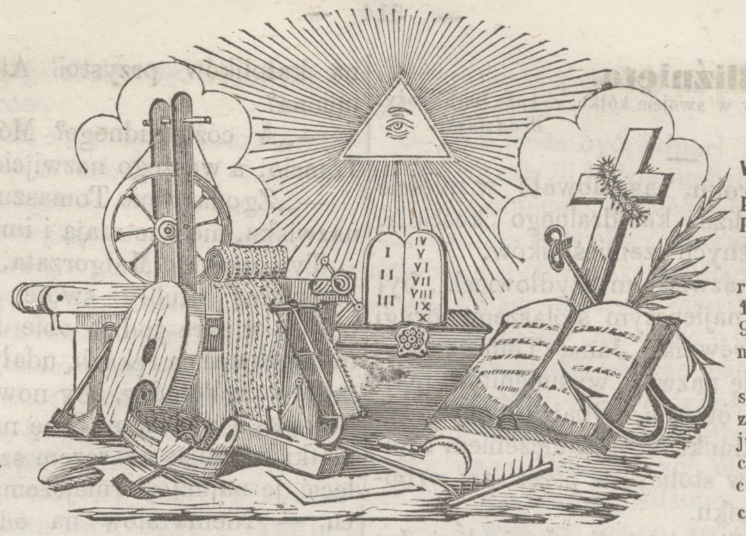
№. 40.

Warszawa

Dnia 23 Września (5 Października) 1856.

Niedziela 20ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący i wieczny Boże! wszystkie przeciwności racz od nas miłościwie oddalić, abyśmy pokoju duszy i ciała doznając, ochotnem sercem przykazania Twoje pełnili. (Modlitwa kościelna na niedzielę 20 po Świątkach)

Wróbel.

—

Lubię jaskółkę, co nam radośnie
Wesołe wieści niesie o wiośnie,
I gniazdko swoje klecąc pod strzechą,
Niejednéj chwili bywa uciechą.
Lubię skowronka, wiosny śpiewaka,
Co wtórząc tęsknéj pieśni wieśniaka,
Słodkim swym głosem w serce mu leje
Wiarę i miłość, męztwo, nadzieję.
Lubię słowika w ranek majowy,
Gdy się odezwie gdzieś wśród dąbrowy;
Stokroć go więcéj lubię wieczorem,
Gdy srebrny księżyc świeci nad borem,
A wietrzyk wonném tchnieniem powiewa,
I do snu stare kołysze drzewa.
Lubię przepiórkę, skrzętną gosposię,
O szarych piórkach, a dźwięcznym głosie;
Co gdy zielona pożółknie niwa,
Żniwiarzy z sierpem w pole przyzywa.
Lubię ja, lubię wszystkie ptaszęta,
Kto ich tam zliczy i kto spamięta?
Lubię je wszystkie, gdy z wdzięczną zgodą
W sadku domowym piosnkę zawiodą.—
Ale nad wszystkie, wróbla ja wolę,
Co się pod strzechą gnieździ w stodole,
Choć nie zanuci pieśni słowiczéj,
Rankiem wesołéj, w noc tajemniczéj;
A jego szare i drobne pierze
Świetnéj od słońca barwy nie bierze.
Lubię ja wróbla! bo gdy w jesieni
Zniknie kobierzec pięknéj zieleni;
A pod huczących wichrów zawieją
Opadną liście, kwiaty zwiędnieją;
Słowik, skowronek precz gdzieś uleci,
Gdzieś, kędy słońce cieplejsze świeci,
Kędy weselsze, wonniejsze gaje;
Jeden się wróbel z nami zostaje,
Gdzie się urodził i żył zamłodu;
A choć drżąc z zimna, przymiera głodu,
On swéj rodzinnéj strzechy nie rzuci,
I cichą piosnkę pociechy nuci,
Czekając z mężną serca nadzieją,
Aż znów wiosenne dni zajaśnieją!

Bliźnięta.

Czyń każdy w swojem kółku, co każe Duch Boży.
Brodziński.

—

Około 1790go roku, sąsiadowało w mieście Kielcach, w pobliżu katedralnego kościoła, dwóch dość zamożnych rzemieślników.

Jeden z nich, nazwiskiem Szydłowiecki, był bez zaprzeczenia najlepszym stolarzem, drugi zaś przyjaciel i krewniak Jana, Tomasz Kowalewski, mógł się nazwać wyśmienitym majstrem damskiego obuwia. Obaj też wykonywali swoje obstalunki z wykończeniem i gustem rzemieślników stolicy, a przez to wzbogacali się bez ustanku.

Przy tak szczęśliwych okolicznościach, jedna tylko troska trapiła sąsiadów naszych: Jan bowiem po kilku, a Tomasz po kilkunastu latach małżeńskiego pożycia, nie mogli się pocieszyć upragnionem potomstwem, za które każdy z nich dałby chętnie połowę swojego mienia.

Ta wspólna niedola, więcéj nad wszystko łączyła i jednała między sobą tych ludzi, i dlategoto od pewnego czasu, pan Tomasz częściéj jak dawniéj, lubił odwiedzać swego sąsiada, i w jego współczuciu szukać dla siebie pociechy.

Tak gdy razu jednego użalał się nad swoją dolą, wpadła doń zadyszana służąca oznajmiając, że jakaś kobieta podrzuciła na jego progu dwoje bliźniątek chłopczyków, i wyrzekłszy „Boże! miéj litość nad sierotami“ uciekła czemprędzéj.

Na te słowa powstali obaj towarzysze, spiesząc czémprędzéj na powitanie tak pożądanych w ich osamotnieniu gości.

—„Ja zatrzymam ich obu, rzecze pan Tomasz.

—„A o mnie zapomniałżeś sąsiedzie? Dali-Bóg, jak nie dasz jednego, obu wykradnę, odparł Jan.

Po małéj obustronnéj sprzeczce zgodzili się, że jedno z dzieci pójdzie na wychowanie Jana a drugie pana Tomasza, gdy tymczasem żona jego Małgorzata karmiła już swych małych gości naprędce zgotowanem mlekiem.

— Ach kochany sąsiedzie, jakie to śliczniuchne gołąbki! zawołał Jan, to będziemy mieli pociechy, tylko je najprzód trzeba ochrzcić, jak na katolików przystoi. Ale jakież im damy imiona?

—„A cóż trudnego? Mój niech ma na imie Tomcio, a waszego nazwijcie Jasiem.

—„Zgoda panie Tomaszu! Damy im swoje nazwiska, niechże mają i imiona nasze.

Tymczasem Małgorzata, z żoną pana Jana Maryanną utuliły swoje przybrane dzieteczki, a w parę godzin obie matki z swemi niemowlątkami na rękach, udały się obok swych mężów do katedry, aby nowemi niewiniątkami powiększyć liczną rodzinę naszéj pieczołowitéj matki kościoła, i zarazem szczeremi modły polecić je najmiłosierniejszemu Niebieskiemu Ojcu. — Niema słów na odmalowanie troskliwości, z jaką ci uczciwi ludzie pielęgnowali powierzone im przez Boga dzieciny. Dlatego też w kilka lat niemowlęta nasze wyrosły jak młode drzewka, wiosenną odświeżane rosą, na zwinnych jak rybki, rumianych jak jabłuszka chłopaczków.

Rodzice kochali i pieścili ich bez miary, dogadzając wszystkim najdziwaczniejszym nawet zachceniom dziecinnego wieku.

Ta zbytnia pobłażliwość niebardzo dobrze wpłynęła na naszych małych jedynaków, w tem szczególniéj, że zwyczajem wszystkich rozpieszczonych dzieci, nie mogli zająć się długo jedną, choćby dla ich zabawy wymyśloną czynnością. A tu powoli zbliżał się ósmy roczek, z nim zaczęło się chodzenie do szkoły, to najkrwawsze dla małych leniuchów męczeństwo.

Tomcio i Jaś choć obdarzeni w najpiękniéj oprawne książki, najporządniéj obłożone kajeta, nie mogli, a raczéj nie chciało im się podołać zadawanym lekcyom, myśleć nad rozwiązaniem zadań rachunkowych, tyle trudnych i zawiłych dla roztargnionych samemi pustotami główek.

Powoli nadszedł i trzynasty roczek, a nasze chłopaki prócz niepospolitego w tym wieku ślizgania się na łyżwach, mistrzowskiego grania w piłkę, i innych podobnéj wartości nauk, umieli zaledwie licho czytać, i nie lepiéj stawiać koszlawe, w rozmaite strony pochylające się litery.

Matki, jak to zwykle matki, uczciwe kobieciska pobłażały o ile mogły, i ukrywały przed mężami smutny stan swoich chłopców. Ojcóm jednak oddawna nie podobało się podobne wychowanie dzieci, i razu jednego za wspólną naradą, postanowili zmienić ich próżniackie rze-

miosło, na hebel, igłę lub dratwę, stosownie do wyboru wychowańców.

W pierwszej chwili, myśl opuszczenia na zawsze nudnych murów szkolnych, dodawała chłopcom naszym niejakiéj ochoty do lekkiéj, jak się zwykle w początku wydaje pracy, ale czém daléj tém gorzéj, i niedługo chętnie by się wrócili do szkoły, byleby uniknąć tak uciążliwego dla nich zatrudnienia. Ale niestety! było już zapóźno; ojcowie bowiem, niezmienną wolą postanowili, choćby za pomocą chłosty zmusić ich do pracy, i na porządnych wykierować ludzi. Obaj chłopcy, według wspólnéj narady rodziców i z własnéj chęci, pracowali w warsztacie stolarskim pana Jana i razu jednego, gdy tenże pogroziwszy im niechybną za jakąś tam psotę karą, wyszedł z warsztatu, a oni ujrzeli się sami, zagadnął Jasio do Tomka.

—„Bieda wielka, bieda mój Tomaszku!—już to nie darmo mówią, że sierota prędzéj czy późniéj, stanie się solą w oku swoich dobrodziejów.

—„Oj prawda! wielka prawda, mój bracie! Kto by się mógł spodziać, że oni tyle łaskawi kiedyś, tak się zmienią? Matki, to tam jeszcze kochają nas nieco, ale i to przywiązanie, może nawpół udawane.

—„Słyszałem, rzekł znowu Jaś, jak mówiono przed szynkiem, że ludzie na krótki czas tylko mogą się przywiązać do cudzego dziecka, a późniéj niech tylko odrośnie trochę, to i wiedzieć o niem nie zechcą.

—„I z nami będzie to samo, odparł z westchnieniem Tomaszek. Jaś zaś z pewném wahaniem się tak ciągnął daléj zaczętą rozmowę.

—„Powiedziałbym ci jednę rzecz; ale przysięgnij, że nikomu, nikomu na świecie nie powiesz.

—„Jak matkę Małgorzatę kocham, tak słowa nie pisnę, odpowiedział Tomaszek.

—„Nie chcę takiego zaklęcia, bo jak ci tylko powiem, com się dowiedział, nie będziesz jéj więcéj kochał.

—„Na Boga, cóż takiego? krzyknął strwożony Tomasz.

—„Oto widzisz, mówił daléj Jaś, stara Jakubowa powiedziała mi wczoraj pod wielkim sekretem, że kobieta, która nas podrzuciła na progu mieszkania ojca Tomasza, zostawiła przy nas ogromne pieniądze, i niemi to ci łaskawi opiekunowie nasi dorobili się takiego majątku, a dziś zamiast kierować na panów, chcą nas zamęczyć pracą.

—„Nie może być, odparł Tomaszek, czyżby mogli być tak źli ludzie na świecie? O! teraz dopiero rozumiem, dlaczego nieraz pomrukiwali sąsiedzi, że to wielkie cackanie się z cudzemi dziećmi, nie może być na darmo.“

—„To też dlatego, mówił znowu Jaś, dowiedziawszy się napewno o prawdzie tego, com powiedział, postanowiłem uciekać wraz z tobą.

—„O kiedy tak, to uciekajmy, uciekajmy jak najprędzéj! zawołał Tomaszek, niech noga nasza nie postanie na tych miejscach, gdzie nas tak bez litości pokrzywdzono.

—„A więc nie ma co zwlekać, wyrzekł stanowczo Jaś, komu w drogę to i czas.

—„Ej co tam, jakoś to tam być musi; przytém będziemy mieli i trochę pieniędzy, a słyszałeś nieraz od ludzi, że na nich świat stoi, z niemi daleko zajechać, i za nie wszystko dostać można.

—„Prócz ojca i matki, odrzekł z westchnieniom Tomaszek.

—„Cóż znowu, dziećmi jesteśmy, byśmy sami sobie poradzić nie mogli; przecież to tydzień temu minęło nam po czternaście lat wieku.

Donośny głos wołającego na kolacyą Jana skrócił tę rozmowę, i chłopcy udali się jak zwykle o tej porze dnia, na przygotowaną kolacyą, a następnie każdy do swojéj stancyjki, niby na spoczynek.

Zaledwie wybiła dwunasta na wieży katedralnego kościoła, już mali nasi podróżni, z zawiniątkami na rękach, szli traktem wiodącym do Krakowa, dokąd za wspólną naradą udać się zamyślili.

Początek podróży, był dla nich niezmiernie wesoły. Ucieszeni, że raz przecie uwolnili się od nieznośnych więzów domowych, rozmawiali swobodnie o mających się spełnić nadziejach, nie wiedząc, że te złote malowanki ich szczęścia mniéj trwałe od zamków na lodzie, od pałaców z kart wątlejsze.

Za nadejściem południa, zwiększające się gorąco i znużenie, zaczęło coraz więcéj dolegać naszym podróżnym, umyślili przeto odpocząć trochę w pobliskiéj karczmie miasteczka Chęcin, i zaledwie usiedli dla posilenia się, gdy ujrzeli wyjeżdżającą z zajazdu żydowską brykę.

Znużeni i zmęczeni kilkomilowym spacerem; umyślili prosić furmana o zabranie ich z sobą

w dalszą drogę ku Krakowu; śmielszy więc w podobnych razach Jaś, dogonił powoli toczącą się bryczkę i rzekł do siedzącego na niéj żydka.

—„Panie żydzie!— czybyś pan nie wziął nas dwóch na swoję furmankę, bo podobno w tęż samą co i my udajesz się stronę? Furman popatrzył na nich z uwagą, i po chwilowem wahaniu się rzekł:

—„Ny, czemu nie? Ja z własną krzywdą lubię każdemu dogodzić, bo przecież panowie widzą, że moje szkapy mizerne, a bryka naładowana jak na jarmark, lecz dla takich przystojnych paniczów, jest zawsze miejsce, u poczciwego Abramka.

Ucieszeni niezmiernie tą udaną uczynnością, chłopcy podziękowali serdecznie ugrzecznionemu żydkowi, i siadłszy na szerokim wozie, jechali uradowani spieszniejszem nad spodziewanie oddalaniem się od domu.

Przyjacielski żydek, dopytywał się z wrodzoną uprzejmością, zkąd byli, i dokąd dążą? a dowiedziawszy się wszystkiego, widząc przytem, że nie żałują sobie na łakotki po oberżach, postanowił wyłudzić z nich zręcznie posiadane pieniądze.

Po dwóch dniach jazdy stanęli w Krakowie. Tam, widok przeszło dziesięć razy większego miasta, ciągły ruch powozów.— bezustanne przesuwanie się rozmaitéj narodowości i stopnia oficerów, żołnierzy, tak olśnił naszych chłopców, że nie wiedząc co począć, zwierzyli się z kłopotu, przyjacielskiemu Abramkowi, i prosili go o radę.

Przewrotny żyd, obiecywał im w początku złote góry. Następnie wydurzając od nich powoli pieniądze, zaczął być coraz mniéj grzecznym, a w końcu dowiedziawszy się, że już nic nie mają, wypędził z domu.

Teraz dopiero otworzyły się nieco oczy naszym małym awanturnikom, zaczęli chodzić z ulicy w ulicę, nie wiedząc sami co z sobą począć. Po długim namyśle postanowili wypytać się o jakiego stolarza, i tam wziąć się do tak niemiłéj dla nich pracy.

Szczęściem trafili na jakiegoś uczciwego człowieka, który ulitowawszy się nad ich stanem, zaprowadził do pewnego porządnego stolarza, gdzie też niebawem przyjęci zostali.

Ciężka zaraz po przybyciu praca, męczyła niewypowiedzianie nowych terminatorów, nieraz nawet zamyślali napisać przez jaką okazyę do opiekunów, z prośbą o przebaczenie; lecz fałszywa myśl, że ciż są przyczyną ich nędzy, nie pozwalała wykonać podobnego zamiaru. Nie pozostało więc nic innego, jak praca i trzymanie się raz obranéj drogi. Po kilku latach, niktby już nie poznał owych popsutych leniuchów. Obaj zostali porządnymi czeladnikami i zaczęli już po trochu zbierać fundusze na założenie warsztatu, w którym razem do wspólki pracować zamyślali.

Różność tylko usposobień, zdawała im się stawać na przeszkodzie. Tomasz bowiem wszystkie wolne od pracy chwile poświęcał przypatrywaniu się mustrze i manewrom stojącego podówczas w Krakowie wojska; Jan zaś, mniéj wojennego usposobienia, myślał ciągle o jak najprędszém ożenieniu się. Przypadek zdarzył, że na imieniny majstra, między wielą ślicznjuchnemi panienkami, jedna szczególniéj, wpadła w oko naszemu Janowi; była to młodziutka i urodziwa jak róża dzieweczka, imieniem Andzia, córka uczciwéj, niedawno owdowiałéj sklepikarki.

Zapoznawszy się za pośrednictwem pani majstrowéj z piękną Anusią i jéj matką, panią Józefową, zaczął nasz młody Jan, coraz więcéj odwiedzać ich ubogie mieszkanko, i po półrocznem bywaniu, widząc, że serduszko córeczki jest mu przychylném, prosił matki o jéj rękę.

Pani Józefowa, chociaż jak najlepiéj o nim uprzedzona od pani majstrowéj, pragnęła jednak dowiedzieć się cośkolwiek o pochodzeniu narzeczonego swéj córki, zagadnęła go więc razu jednego temi słowy:

—„Nazwisko wasze, panie Janie! jest mi gdzieś znane. Czy czasem nie z okolicy Kielc przybywacie?

—„Nie inaczéj. Odpowiedział zmieszany nieco młodzieniec.

—„A czyście nie krewni tego uczciwego pana Szydłowieckiego, bo przecie jedno z nim nosicie nazwisko? dodała pani Józefowa,

Na te słowa zadrżał mimowolnie Jan i z głębokiem westchnieniem, wywołaném zapewne wpomnieniami dzieciństwa, odparł:

—„W istocie, byłem jego jakby krewnym, bo przybranym synem, podobnie jak brat mój Tomasz wzięty był na opiekę przez majstra

damskiego obuwia, pana Kowalewskiego. Kobieta jakaś.....

—„Nie kończ— nie kończ! przerwała pani Józefowa; wiem już wszystko. Ja to sama, własnemi rękoma, oddałam was na opiekę Bogu i tym uczciwym ludziom.

—„Wy pani! Czyż to być może, zawołał Jan.

—„Nieco przedtém, służyłam u waszych rodziców, mówiła daléj pani Józefowa, gdy nieszczęściem biedny wasz ojciec, zapadł na jakąś gwałtowną gorączkę, a matka wyczerpawszy wszystkie zasoby,pochowała męża w przeddzień waszego urodzenia i wkrótce po przyjściu waszem na świat, skonała. Zostałam więc samą w domu, otoczona wierzycielami zajmującemi na własność pozostałe po waszych rodzicach rzeczy. Sprawiłam za oszczędzone pieniądze, dwa uczciwe pogrzeby, i nie wiedząc co począć, zaniosłam was pod drzwi uczciwego pana Kowalewskiego, poczem dowiedziawszy się o radości z jaką was przyjęto, wróciłam do moich krewnych, tu w Krakowie mieszkających.—Lecz czyżby już nie żyli ci uczciwi ludzie, żeście się aż tu przenieśli, panie Janie? Na to zapytanie głęboko wzruszony młodzieniec, opowiedział dni swojego dzieciństwa— potwarz jaką rzucili źli ludzie na jego uczciwych opiekunów, i w końcu swoję wraz z bratem ucieczkę.

Nie powtarzając rozmowy Jana z bratem, nasuwających się im uczuć i myśli, dodam, że nazajutrz rano, obaj bracia byli już na trakcie kielecko-krakowskim, udając się z największem upragnieniem w tę stronę, z któréj 6 lat temu z taką skwapliwością uciekali.

Zobaczmy teraz, co się przez ten czas działo z ich opiekunami.—Otóż po nadaremnem poszukiwaniu, stracili nadzieję prędkiego ujrzenia swoich wychowańców i szukali sposobów pocieszenia się.

Pan Jan człowiek cichego usposobienia, wybaczający, spokojniéj zniósł swoję troskę, w tém tylko zmieniając zwyczajny tryb życia, że pieniądze łożone kiedyś na Jasia, obracał na wspieranie biednych wdów, sierot, i inne dobre uczynki.

Z panem Tomaszem było zupełnie co innego, jakkolwiek uczciwy, zmienił się zupełnie w postępowaniu z ludźmi, nie chciał u nikogo bywać, i z nikim się zadawać.

Pewnego razu, chcąc się pocieszyć, podchmielił sobie nieco wódeczką, i dawnym zwyczajem wstąpił do pana Jana, a zastawszy go przy pracy, rzekł:

—„Dla kogo tak pracujecie, panie Janie?

—„Dla ludzi i Boga, który nas przeznaczył do pracy.

—„Nie wiem, czy tam Bogu przybędzie co z waszéj pracy, a dla ludzi dali-Bóg nie warto; bo biedne zwierzę bardziéj się do nas przywiąże, i lepiéj od człowieka wywdzięczy, mówił z goryczą Tomasz.

—„Ej nie bredźcie, panie Tomaszu! przecież i my dwaj należymy do ludzi, a umiemy czuć wdzięczność.

—„Prawda, że czasami znajdzie się człowiek wdzięczny, lecz tysiąc innych, podobni do téj zamarzniętéj przez chłopa znalezionéj żmii—biedak ulitował się nad nią, ogrzał ciepłem własnych piersi, by ją do życia przywrócić, a wieszże jak mu się odwdzięczyła? ot zupełnie po ludzku, bo przyszedłszy do sił, zapragnęła pozbyć się swego natrętnego dobroczyńcy, topiąc jadowite żądło w piersiach, które ją utuliły.

A więc utrzymujecie, panie Janie, żeśmy zawiele żądali od naszych dzieci, dorzucił Tomasz.

—„Tak jest, odpowiedział Jan, lecz myśmy im jeszcze i za mało dali, bo schlebiając od dzieciństwa ich najdziwaczniejszym zachceniom, nie daliśmy uczciwego jak na rzemieślników przystoi wychowania. Nie dziw więc, że rozpieszczonych paniczów męczyło rzemiosło. Ale nie traćmy nadziei, aby tylko Bóg pozwolił, pobłogosławimy im jeszcze.

—„Ja mam błogosławić tym, co zamiast synowskiéj wdzięczności, tak boleśnie zatruli mi życie? krzyknął gniewliwie pan Tomasz.

—„ I na cóż nam tak gorąco pragnąć wdzięczności, mówił uspokajając go Jan, czyż nam nie dość téj pociechy, że wszystko, co czynimy dla ludzi, Zbawiciel przyjmie, jako ofiarę złożoną na jego ołtarzu? — O! wierz mi panie Tomaszu, że jak nieważnemi są żal i pokuta, samą tylko bojaźnią kary doczesnéj wzbudzone, tak tem bardziéj nie przyjmie Bóg nawet najlepszego uczynku, spełnionego jedynie w widokach otrzymania wdzięczności, a tem samem ziemskiego wynagrodzenia.

—„Więc się nie gniewasz wcale na swego Jasia, że cię tak niegodnie porzucił? rzekł Tomasz.

—„Zupełnie, odpowiedział Jan. I w każdym razie przyjmę "go z otwartemi rękami, jak nas uczy Zbawiciel, w przypowieści o synu marnotrawnym.

—„Ja zaś, odparł żywo Tomasz, przekląłbym tę niewdzięczną żmiję, co tak boleśnie zraniła mi serce.

Zaledwie domówił tych wyrazów, weszła sługa oznajmiając, że dwóch jakichś podróżnych chce się widzieć z panem Janem, który zostawiając na chwilę Tomasza, pospieszył na spotkanie gości. Jakaż była jego radość, gdy jeden z przybyłych upadł mu do nóg, błagając przebaczenia w tych pełnych uczucia słowach:

—„Ojcze! drogi ojcze mój! daruj, przebacz niewdzięcznemu synowi.

Uczciwy Jan ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia, chwycił z uczuciem rękę wychowańca, i zapomniawszy o gniewliwém usposobieniu sąsiada, wołał uszczęśliwiony.

—„Żono! Żono droga! znaleźliśmy naszego syna! Panie Tomaszu i wasz powrócił, patrzcie jak oba dziarsko wyglądają.

W chwili gdy pani Janowa płakała z radości, ściskając i całując głowę przybranego syna, Pan Tomasz, jakby oburzony ich szczęściem, odwrócił się od przystępującego doń syna i wyrzekłszy gniewnie: *nie chcę cię znać niewdzięczniku!* uciekł do domu, zostawiając na wpół zemdlonego z przestrachu i smutku wychowańca.

Niema słów na opisanie szczęścia, jakie od téj pory zakwitło w rodzinie uczciwego Jana, powiększonéj niedługo piękną synową i dobrą jéj matką Józefową. Smuciła ich tylko bojaźń o życie młodego Tomasza, który nie mogąc uzyskać ojcowskiego przebaczenia, przystał do wojska.

W kilkanaście lat po owém zdarzeniu, w niedzielę, podczas długich jesiennych wieczorów, przy jasnym kominkowym ogniu, siedział sędziwy pan Jan, pieszcząc dochowane wnuczęta, z których jedno starsze czytało żywoty świętych Pańskich, inne zaś mniejsze, wieszając się to na ramieniu, to na kolanach starca, słuchały z większą lub mniejszą stosownie do wieku ciekawością, opisów tych maluczkich ziemi, a wielkich nieba bohaterów; a w chwili gdy cała rodzina doczytawszy do zamierzonego rozdziału, usiadła pożywać zastawioną wieczerzę, ukazał się niespodziewanie jakiś przystojny, słusznego wzrostu oficer.

Trudno opisać radość całego grona zebranych osób, gdy w przybywającym poznali młodego Tomaszka, a dziś dzielnego porucznika wojsk Napoleońskich, który witając radośnie obecnych, pytał skwapliwie o ojca Tomasza, i uczciwą matkę Małgorzatę.

Ojciec Jan nie bez głębokiéj boleści opowiedział mu, jak dobra Małgorzata patrząc na szczęście i spokój swoich sąsiadów, wymawiała ciągle mężowi jego nieludzkie z wychowańcem obejście się, a ztąd niebłogosławieństwo Boże. Te domowe swary skróciły życie biedaczce, a pan Tomasz z jéj śmiercią, osierociał do reszty. Znudził sobie wszystko, a przed parą miesiącami, skołatany tak licznemi troski, zaniemógł śmiertelnie.

Zasmucony oficer, pobiegł bezzwłocznie prosić raz jeszcze o przebaczenie nieszczęśliwego ojca Tomasza, i dowieść mu, że w prawych sercach, nie gaśnie nigdy uczucie wdzięczności, ale się z czasem bardziéj jeszcze roznieca i powiększa,

Niestety! Było już zapóźno, bo biednemu ojcu Tomaszowi zostawało zaledwie kilka godzin doczesnego życia. W nich jednak zbierając ostatek przytomności, przebaczył i pobłogosławił wychowańcowi, mówiąc doń przerywanym głosem te ostatnie wyrazy:

—„Synu mój! przebaczam ci— bo nie wiedziałeś, coś czynił.— Przebacz i ty twemu obłąkanemu na chwilę ojcu. Błogosławiąc cię całą duszą, dziękuję Bogu, że cię zesłał na zamknięcie oczów moich. Błogosławię cię raz jeszcze i zaklinam imieniem konającego ojca, byś nie żył tak jak ja, dla samego siebie, ale dla szczęścia i dobra bliźnich, a wierz mi, że w ich powodzeniu znajdziesz własną pociechę i zadowolenie. Niech cię nie zaślepia niewdzięczność jednych, bo tę ci Bóg wdzięcznością drugich w stokroć wynagrodzi.— Pamiętaj zawsze na te święte słowa naszego Zbawcy: „Wszystko cokolwiek uczynicie najmniejszemu z was, mnieście uczynili.“

Po tych coraz to słabiéj domawianych słowach, zamilkł nasz biedny Tomasz, i nikt już nie usłyszał więcéj jego głosu.

Młody Tomasz po wyprawieniu porządnego pogrzebu przybranemu ojcu, przyłączył się do rodziny brata, i jakkolwiek był już porucznikiem, nie wzdragał się jednak uczciwéj pracy w rze-

miośle stolarskiem; w czem zwiedzenie wielu pięknych miast, a w nich rozpatrywanie misternéj roboty mebli, było mu niezmiernie pożytecznem.

O jaskółkach.

Pod wieczór, w pięknym dniu letnim, siedział ojciec z synkiem przed domem swoim na ławce. Przed niemi błyszczało jeziorko, a gładką i spokojną jego wodę marszczyły tylko, zwykle pod wieczór bardzo ruchliwe, jaskółki, uderzając w nią skrzydełkami swemi, i tworząc tem na powierzchni wody coraz bardziéj rozszerzające się kręgi.

Rozmawiając o tem i owem, odezwał się ojciec po chwili milczenia do syna.

„ Spojrzyj-no do góry; widzisz tam ptasie gniazdo nad oknami pokojów naszych pod dachem? Patrz, jedno, co tylko zaczęte, co tylko trochę mułu przylepionego do ściany; drugie do połowy zrobione, a niektóre ze wszystkiem gotowe, a bardzo twarde i czyste.

„Oto widzisz, jak ich gospodynie“ mówił daléj, wskazując na jaskółki, „niezmordowanie tam i sam latają, i to się bawią, bijąc skrzydełkami w gładkie wody stawu, to przynoszą w pyszczkach muł i ziemię i robocie swojéj nadają kształt wypukły dzióbkami, i nóżkami swemi.

Gniazda te są bardzo mocne i twarde jak mur, a wewnątrz są usłane puchem i pierzem, żeby małym miękko było leżeć.“

Gdy syn zapytał, czem się żywią jaskółki, ojciec tak daléj prawił.

„Jaskółki karmią się muszkami, komarami, i tym podobnemi małemi owadami, gniazdka zaś swoje zawsze lepią w miastach i wsiach około domów. Ludzie ich nie płoszą, bo one są więcéj pożyteczne, niż szkodliwe, i przyjemnie im jest patrzeć na ich sposób życia. Przyjrzyj się tylko, jak wartko szybują w powietrzu, goniąc za swoją zdobyczą; ich też bystremu lotowi żaden ptak nam znany zrównać nie może. — Nad ranem jeno świt, świegocą i szeleszczą skrzydełkami u okien, czem nas budzą i wzywają do pracy, a przez cały dzień nie opuszczają skrzydełek, latają za pokarmem dla siebie i dla swych dzieci. Złowiwszy kilka much, spieszą zaraz z niemi do gniazdek, szybko wlatując w ich otwór i obdzielają swoją zdobyczą pisklęta.

„Czyż z tego wszystkiego nie wielka dla nas nauka wypływa? jaskółka lepiąc zwolna i mocno swe gniazdo, uczy nas pracy i cierpliwości, a zabiegłością swoją ku dzieciom i swém tak rannéem świegotaniem zachęca nas do podobnéj troskliwości o swoje dzieci, i zaczynania dnia wczesną pracą.“

„Przytoczę ci tu przykład ich wielkiéj troskliwości o swoje dzieci.

Jaskółki raz ulepiły sobie gniazdko pod gzymsem domu; kiedy już miały dzieci, zdarzyło się, że jedno z nich przygramoliwszy się do otworu, wprzód, nim mu jeszcze piórka urosły, wypadło z gniazda, i padłszy na bruk, na śmierć się zabiło. Stare jaskółki ujrzawszy to nieszczęście, odleciały i po chwili przyniosły w dzióbkach malutkie kawałki twardéj słomy, a przytwierdziły je gliną nakształt sztachetek około otworu gniazdka, ażeby ochronić pozostałe dzieci od smutnego wypadku ich biednego brata.

Mogę ci jeszcze podać inny przykład ich zmyślności i chęci dopomagania sobie nawzajem.

Jakiś zuchwały wróbel rozgościł się raz w gniazdku jaskółki podczas jéj nieobecności; a gdy ta powróciwszy, chciała się dostać do domku swego, wtedy wróbel wyściubił główkę z otworu i patrzył jéj śmiało w oczy z rozdziawionym dziobem. Biedna jaskółka zapewne obraziła sie tem srodze i zasmuciła bardzo taką napaścią, lecz nie mogła sobie poradzić własnemi siłami. Odleciała więc od gniazda i powróciła wkrótce z chmarą towarzyszek, a każda z nich przyniosła w dzióbku nieco gliny, i tą w oka mgnieniu zalepiły otwór gniazda, zamknąwszy na wieki w więzieniu wróbla, który jak wnosić należy, rychło zaginął dla braku powietrza i pożywienia.

Mógłbym ci jeszcze wiele powiedzieć o przezorności tych ptaków. W jesieni, gdy czas chłodny nastaje, jaskółki zbierają się w wielkie stada na dachach wysokich budowli, i przygotowują się do odlecenia do *cieplic*, to jest do ciepłych, czyli południowych krajów. Żeby zaś doświadczyć sił swoich, zwykle zataczają wpierw kilka wielkich kręgów w powietrzu, a potem upatrzywszy sobie dzień pogodny, udają się wszystkie razem ku południowi.“

Tu syn zwrócił uwagę ojca na twierdzenie wielu ludzi, jakoby jaskółki na zimę kryły się w bagnach i sitowiu nad wodami, i jakoby ich nieraz siecią ze stawów wyciągano.

—„Tym baśniom nie wierz, mój synu, rzekł ojciec; być jednak może, że wyciągnięto nieraz jaskółkę z wody, ale to się stać mogło tylko przypadkiem, gdy która z nich osłabłszy w locie, padła na wody, i tam zginęła. Zważ z resztą, że natura jaskółki nie jest tak usposobioną, jak niektórych zwierząt; naprzykład niedźwiédzi, żółwi, ryb i t. p., z których jedne mogą zimę przepędzić w odrętwieniu bez pożywienia, a drugie żyć w wodzie. Jaskółka ma naturę podobną wszystkim ptakom, któreby zginęły bez pożywienia i wolnego powietrza.

Ale wracając do rzeczy, twierdzą naturaliści, to jest ludzie uczeni, wiedzący i piszący wiele o zwierzętach, że jaskółki odlatują na zimę do środkowéj Afryki; na wiosnę zaś powracają znowu w nasze północne kraje.— Czasami, przy wcześniejszém nastaniu u nas ciepła, niektóre z nich przylatują do nas zbyt wcześnie, a kiedy się czas nagle oziębi, i znów nastaną mrozy lub śniegi, to biedne zamierają dla braku pokarmu lub z zimna. Ztąd też powstało przysłowie: że *jedna jaskółka nie przynosi wiosny*.

Ale kiedy przylata ich mnóstwo, to możemy być pewni, że zima przeszła i dlatego zawsze cieszymy się z ich powrotu. Opatrzność bowiem dała zwierzętom instynkt, czyli przeczucie pewne, według którego swém życiem kierują. O tém nas jeszcze i to przekonywa, że jaskółki, dążąc do nas na wiosnę, znajdują znowu drogę przez wielką przestrzeń mórz i krajów do tych samych miast, wsi i domów, gdzie wzrosły. O tém znowu tak się przekonywano, że niektóre z nich łapano i cechowano jakiemiś znaczkami przed ich odleceniem, a z któremi znowu w te same miejsca na wiosnę przybyły.— Powróciwszy, poprawiają swoje gniazda lub lepią nowe.

Lud umie się wywdzięczać jaskółkom za ich przywiązanie do domów naszych, bo za grzech uważa psucie ich gniazdek lub niszczenie młodych. Z tego też zapewnie poszanowania tych ptasząt powstał na wsiach przesąd, że w którym domu im gniazdko zrujnują lub młode zabiorą, tam jakby na ukaranie, krowy krwiste mleko dają, które jednakże niczém innem nie jest, jak tylko wynikłością choroby tych bydląt.

Jaskółki lęgną się tylko raz w ciągu lata; liczba ich jajek nie przenosi siedmiu; są one wielkości wróblich; na tle białem mają cętki ceglaste.

Trzy gatunki jaskółek widzieć się u nas dają: *właściwe jaskółki* czyli *dymówki* z białemi brzuszkami, gnieżdżące się po większéj części w kominach domów; *jeżyki*, mające pod dziobkiem piórka białe, a na brzuszku czerwonawe i gnieżdżące się u gzymsów lub pod strzechami domów; *oknówki* zakładające gniazda pod oknami i *grzechółki* z znacznie dłuższemi od jaskółek ogonami, które bardzo wysoko latają, a gnieżdżą się tylko nad wodami w ziemi.

Z zagranicznych zasługuje na wzmiankę *Salangana*, żyjąca w Indyach-Wschodnich i na wyspach Indyjskiego oceanu; gniazdo jéj ulepione z chrząstkowatych porostów morskich, jest używane na pokarm.

Mieszkańcy tameczni wielki gniazdami temi prowadzą handel z Chinami.

Napis na nagrobku.

Na jednym z cmentarzy jest nagrobek w framudze: trupia głowa ze dwóch na krzyż złożonych kości, i podpis taki.

Przechodniu!
Czem ty jesteś:—ja byłem.
Czem ja jestem:—ty będziesz.
Pomyśl trochę—i idź z Bogiem.

O! jakże pożyteczna rzecz oddawać się tym myślom i dumaniu! Osobliwie dumaniu nad swym początkiem, nad swą teraźniejszością i nad swym końcem!.... tojest nad najważniejszą dla człowieka *sprawą wieczności!* Kto chce żyć bogobojnie, powinien znaleźć czas w każdym dniu na podniesienie myśli do Boga, a w każde święto, cząstkę dnia na ten cel koniecznie poświęcić.

Wewnętrzna z samym sobą rozmowa wobec sumienia, téj iskry światła niebieskiego, pochodnią objawionéj religii wzmocnionego, najskuteczniéj człowieka naucza, jak postępować względem Boga i ludzi, względem prawdy i błędu, cnoty i występku, cierpień i uciech, bogactw i ubóstwa, względem czasu i wieczności; jak się zachować w życiu i przy śmierci.

W drukarni J. Unger —Wolno drukować. Warszawa d. 19 Września (1 Października) 1856 r. — Starszy cenzor, *P. Sobieszczański.*